

Andrzej ROZWADOWSKI*
Sasino

KILKA ODCINKÓW MOJEJ PODRÓŻY

Pietropawłowski¹

Tuż za Krasnoarmiejskiem² tablica informacyjna: „Pietropawłowski 112 km”. Jedziemy pod wiatr. Około 30 km towarzyszy nam samochód państwa Pasławskich, jedzie tam też pani Figołowa z córką. Zatrzymujemy się i spożywamy drugie śniadanie. Słońce grzeje niemiłosiernie. Robimy sobie zdjęcia. Spoglądamy na horyzont. Wydaje się nam, że galopują konie. To złudzenie – gorące powietrze tworzy takie widoki. Przejazd z Krasnoarmiejska do Kiyaly³ okropny – na drodze tłuczeń wielkości pięści. Samochody wyrobiły koleiny i staramy się jechać w tych wąskich „drózkach”. Mijające lub wyprzedzające samochody, zwłaszcza ciężarowe, wzbijają tumany kurzu. Na dodatek spod tych samochodów „strzelają” kamienie. Gdyby trafił w nogę, zraniłby ją. W Kiyaly mamy na licznikach 42 km, czyli do Pietropawłowska pozostało 70 km. Nic z tego – tuż za miastem tablica informacyjna: „Pietropawłowski 107 km”. Czyli przejechaliśmy... 5 km? A tak naprawdę do Pietropawłowska mieliśmy jeszcze 102 km. Jeszcze tutaj, na początku podróży, irytowało to nas. Potem przyzwyczailiśmy się. Zresztą, kiedy pytaliśmy miejscowych

* Andrzej Rozwadowski – były (1999-2000) prezes Zarządu Związku Sybiraków Oddział w Łodzi. W latach 1940-1946 przebywał na zesłce w Kazachstanie. W maju-czerwcu 1992 r. odbył z synem i jego kolegą wyprawę rowerową (niemal 4200 km) trasą powrotu z zesłania – z Akmolińska (Akmoly, obecnie Astana) do Łodzi. Opisał ją w książce *Syberia raz jeszcze* (Łódź 1993, 1998, 2016). Publikowany tekst jest nieco przeredagowanym fragmentem z pierwszego wydania tej książki (Red.).

¹ Pietropawłowski – siedziba władz obwodu północnokazachstańskiego (Red.).

² Miasto w obwodzie północnokazachstańskim. Od 1997 r. nosi nazwę Tajynsza (Red.).

³ Miejscowość na trasie Krasnoarmiejsk-Pietropawłowski (Red.).

o tego typu niespodzianki, nawet dziwili się, że zwracamy na to uwagę. To było dla nich proste – nie było innej tablicy pod ręką, to postawili tę. Kierunek się zgadzał, to było ważne. Podobno w większości samochodów państwowych liczniki są „złamane” (popsute, najczęściej świadomie). Przy rozliczeniu kilometrów podaje kierowca, a 100 km w tę czy tamtą stronę, to nieistotne. Ważne, aby dyspozytor i kierowca byli zadowoleni z „oszczędności”. W każdym razie od tego etapu, patrząc na tablicę lub mapę, uwzględnialiśmy 20 km na „procent błędu”. Dopiero w pobliżu Moskwy i na Białorusi mogliśmy z tego zrezygnować, tam raczej wszystko się zgadzało.

Docieramy do Pietropawłowska około godziny 16.00 czasu miejscowego. Tu, na rogatkach miasta, oczekuje nas pan Antoni Zajączkowski. Podobno źle zrozumiał informującego o naszym przyjeździe i oczekiwał nas również w niedzielę o 16.00. Był też rano o 4.00. Ponoć milicjanci na posterunku GAI⁴, gdyby nas spostrzegli, mieli nas zatrzymać i powiadomić o tym pana Antoniego.

Jedziemy do domu państwa Zajączkowskich. Naszym marzeniem jest kąpiel. Okazuje się, że w miejscowej *bani* remont męskiej łaźni. Ratuje nas sąsiad pana Antoniego. Kąpiemy się w prawdziwej ruskiej *bani*. Jest to sauna połączona z kąpielą. Są też *wieniki* (brzozowe gałązki) do biczowania. Co za wspaniała sprawa! Wychodzimy jak nowo narodzeni. Zmęczenie upałem i trasą minęło. Od tego czasu na każdym etapowym postoju szukamy *bani*.

Potem kolacja i rozmowa z panem Antonim. Ma w Polsce rodzinę w okolicach Wałcza. Był kilka razy w Polsce. Chce koniecznie wrócić do Kraju. Jeżeli tak można powiedzieć, też był ofiarą tej nieszczęsnej ankiety, odebranej jako repatriacyjna⁵. Antoni jest na emeryturze. Prowadzi kampanię na rzecz odzyskania kościoła wraz z plebanią w Pietropawłowsku. Kościół ten został zbudowany za czasów carskich ze składek Polaków – zesłańców w te rejony. Czynny był do rewolucji, ale podobno jeszcze w 1919 r. odprawiano w nim msze. Potem zamieniono kościół na magazyn, a następnie na przedszkole. Wieża, grożąca ruiną, jakieś 20 lat temu została rozebrana. Pan Zajączkowski twardo stoi na stanowisku, że kościół powinien być zwrócony Polakom. Ponoć jeszcze dwa lata temu dyrektorka tego przedszkola bardzo oponowała przed oddaniem kościoła, podając wyższe cele, jeżeli chodzi o jego wykorzystanie. Dzisiaj budynek nie jest

⁴ GAI – *Gosudarstwiennaja awtomobilnaja inspiekcyja* (ros.) – Państwowa Inspekcja Samochodowa (Red.).

⁵ Ankieta (sondażowa?) przysłana z Krakowa, przypisywana Wspólnocie Polskiej. Podobną wypełniali miejscowi Niemcy, którzy następnie wyjechali do RFN. Tego samego oczekiwali od władz polskich Polacy. Kiedy nie doszło do ich wyjazdu do kraju, poczuli się bardzo rozżaleni (Red.).

ani kościołem, ani przedszkolem. Po prostu jego stan jest opłakany. Niby rozpoczęto remont, ale nic tu się nie dzieje. Nadchodzi Boże Narodzenie 1991 r.

Antoni Zajączkowski chce zorganizować przed drzwiami frontowymi mszę św., aby zamanifestować przynależność tego budynku do katolików. Celebrować tę mszę będzie ksiądz Jan Wołek z Wadowic. Mam gazetę codzienną „Leninskoje znamia” („Leninowski Sztandar”) z dnia 20 listopada 1991 r. Na jej drugiej stronie znajduje się wzmianka o działalności Antoniego Zajączkowskiego. Jej tytuł: *Nie wszyscy równi przed najwyższymi* (tak brzmi w tłumaczeniu dosłownym). Należy to rozumieć: *Nie wszyscy równi wobec władz*. Natomiast na ostatniej stronie tejże gazety ogłoszenie:

Rzymskokatolickie religijne stowarzyszenie miasta Pietropawłowska zawiadamia: 24 grudnia o godz. 14.00 obok budynku byłego kościoła (ul. Lenina 43) odbędzie się msza, w której uczestniczyć będzie ksiądz z Polski. Prośba do katolików województwa i zainteresowanych o wzięcie udziału w tym wydarzeniu.

W oznaczonej godzinie i dniu stawilo się wielu wiernych. Czekali na mszę około dwóch godzin. Niestety, nie przyjechał ksiądz Jan Wołek. Zginął w tajemniczym wypadku w drodze do Pietropawłowska... W samochód osobowy z księdzem Wołkiem uderzył autobus kursowy, który akurat tego dnia jechał pusty. Ksiądz i ojciec kierowcy, siedzący z tyłu, zginęli na miejscu. Kierowca uratował się. Są plotki, że to KGB⁶ zadziało, aby nie dopuścić do odrodzenia życia religijnego w tym mieście. Bóg jeden wie, jak było w rzeczywistości. Pan Zajączkowski nie ma na ten temat sprecyzowanej opinii. Antoni nie załamuje rąk, dalej walczy.

Już po powrocie do Polski otrzymałem list od niego, abym koniecznie „załatwił” księdza, bo już mają dla niego wszystko przygotowane. Wiedząc na kilka dni przed moim przyjazdem o naszej podróży, zreagował list-posłanie do prezydentów Polski i Kazachstanu. Zobowiązał mnie, abym osobiście przekazał ten list prezydentowi Lechowi Wałęsie, na co się zgodziłem (o załatwieniu tej sprawy w dalszej relacji). Wraz z listem od Antoniego Zajączkowskiego otrzymałem wycinki z prasy o naszej wizycie w Pietropawłowsku ze znamienym tytułem: *Wałęsa im pokaże*. Polacy na rowerach wiozą list, w którym opisana jest sytuacja, jaka tu panuje wśród wiernych. List wiozą do prezydenta Wałęsy, a ten, jak otrzyma taki list, „to im pokaże”. Aż mnie ciarki po plecach przechodzą, jaka będzie reakcja tamtejszej prasy na odpowiedź biura prezydenta.

Antoni Zajączkowski, zesłaniec z okolic Kamieńca Podolskiego, trafił do Kazachstanu w 1936 r. Mówi po rosyjsku, wplatając zniekształcone słowa

⁶ KGB – *Komitiet gosudarstwennoj bezopasnosti* (ros.) – Komitet Bezpieczeństwa Państwowego (Red.).

polskie. Rozumie jednak dobrze język polski. Opowiada o nędzy i tragedii zesłania. Twierdzi, że do dziś nie może sobie znaleźć miejsca w tym kraju. Gdy opowiadał mu o naszym zesłaniu, o „kiziakach”⁷, głodzie, wszach i ziemiankach, stwierdza: *No, kak ty kiziaki zbierał, to ty nasz, wsio znajesz. No wszy to tiepier’ niet, a one chorosze na żółtochu, my brali jejo i zapiekali w śpioszkach*. Chodzi o to, że dawniej, gdy ktoś chorował na żółtaczkę, to wszy były lekarstwem, zapiekano je w *lepioszkach*⁸ i zjadano.

Wracając do dalszej rozmowy, miejscowi mieszkańcy Pietropawłowska, nie będący Kazachami, obawiają się narastającego tu nacjonalizmu. Podobno na kilka dni przed naszym przyjazdem, umieszczono tablice ulic z dwujęzycznymi napisami. Rzeczywiście, na główniejszych ulicach można było je zauważyć. My odróżnialiśmy jedynie literę „i”, która była napisana czcionką łacińską. Otwierane są meczety, a Kazachowie domagają się urzędów i władzy. Uważają, że dotychczasowe kierownictwo było „przywiezione w teczkach” z Moskwy. Nie tolerują otwieranych przez Rosjan sklepów prywatnych. Natomiast te prowadzone przez skośnookich (trudno mi było wywnioskować, czy chodziło o Chińczyków, czy o Japończyków), są traktowane zupełnie na innych zasadach. Duże wpływy zaczynają mieć muzułmanie. Rosjanie twierdzą, że są to ludzie z Libii, Iranu i Iraku. Zachodzi obawa, że może to doprowadzić do krwawych rozruchów. Tego wszystkiego obawiają się między innymi Polacy i Niemcy. Mnie wydaje się, że ostrze nacjonalizmu uderzy w pierwszej kolejności w Rosjan. Na razie jest dobrze. Wynika to stąd, że, mimo wszystko, mały procent Kazachów zamieszkuje te tereny. Główne ich skupiska to raczej południe tego kraju.

Spotykamy się też z niezwykle barwną postacią, jaką jest Konstanty Siergiejewicz Uszkow. To były dyrektor muzeum. Opiekował się Polką i jej synem na początku lat 40., czyli zesłańcami z roku 1940. Posiada zdjęcie z dedykacją pani Zofii Rzeszowskiej (lub Rzeszewskiej), gdyż to właśnie o nią chodzi. Jej syn miał na imię Bogdan. Uszkow naraził się miejscowym władzom za udzielanie pomocy „kriwopijcom ludu”. Z jego relacji dowiaduję się, że mąż pani Rzeszowskiej był prezydentem (lub burmistrzem) Równego. Znał jeszcze innych Polaków: Walentego Ekołowicza oraz Aleksandra i Grzegorza Nazarewskich, synów Aleksego. Nie mogę brać odpowiedzialności za poprawność tych nazwisk, były bowiem bardzo niewyraźnie napisane po rosyjsku. Bogdan Rzeszowski przedostał się do armii generała Władysława Andersa. Po wojnie kontakt listowny Uszkowa z tą rodziną urwał się i już nic nie wiadomo, co się z nią dalej działo. Prawdopodobnie pani Rzeszowska nie żyje, natomiast jej syn,

⁷ *Kiziaki* – wysuszone odchody bydłce, wykorzystywane jako opał (Red.).

⁸ *Lepioszka* – rodzaj placka, stanowiącego namiastkę chleba, upieczonego na płycie kuchni lub wewnątrz pieca (Red.).

jak się przypuszcza, znajduje się w Polsce. Mam adres Konstantego Uszkowa, może moja osoba przyczyni się do nawiązania między nimi kontaktu.

Obcowanie z Polakami skłoniło Uszkowa do dokładniejszego zapoznania się z historią naszego narodu. Wynikiem tego jest chęć zbudowania pomnika martyrologii Polaków. Chce on nazwać ten pomnik „kajaniem się narodu rosyjskiego wobec Polaków za ich męczeństwo i gehennę lat 1940-1946”. Wydaje mi się, że dość dokładnie udało mi się to jego określenie przetłumaczyć. Osobiście mam jednak wątpliwości, czy tylko w tamtych latach doznaliśmy tragedii. A gdzie Polacy-zesłańcy, walczący o wolność w powstaniach, gdzie zesłańcy z lat 1936-1937, gdzie zesłańcy po roku 1946? Dzielę się tymi wątpliwościami z Konstantym Uszkowem. Zresztą i tak mam podziw dla tego człowieka, że „wychodził” u władz zezwolenie na wzniesienie takiego pomnika, że ma też obecnie wyznaczoną jego lokalizację. Sprawa rozpoczęcia budowy rozbija się o fundusze, o które usilnie zabiega, będąc jednocześnie przewodniczącym organizacji „Memoriał” w Pietropawłowsku.

Posiada on kopię oryginału pisma NKWD z roku 1940, które jest instrukcją, jak zachować się w stosunku do Polaków przywiezionych tu na zsyłkę w 1940 r. Obiecał, że przysła mi ją do Polski. W chwili, kiedy piszę tę relację, jeszcze jej nie otrzymałem. W każdym razie, NKWD „przedstawia” nas jako „wrogów ludu”, którzy nigdy nie „splamili się” pracą, żyli natomiast z wyzysku ludzi pracy i chłopstwa. Jesteśmy jakoby elementem szczególnie groźnym, w którym przeważają wyzyskiwacze i prostytutki. Należy ich „specjalnie” traktować, dawać im najcięższą pracę, gdyż tylko przez pracę można odbudować ich morale. Pismo to skierowane było do władz administracyjnych wszelkiego szczebla, łącznie z dyrekcjami fabryk, kolchozów i sowchozów. To, co czytałem, kojarzy mi się z napisem na bramie w niemieckim obozie Auschwitz. Tam też „wyzwolić się” można było jedynie przez pracę.

Z relacji Uszkowa wynika, że tylko w rejonie pietropawłowskim zmarło z głodu, zimna, chorób i wyczerpującej pracy 28 tys. Polaków. Liczba ta wydaje mi się absolutnie pewna, gdyż zdobyta została z archiwów NKWD. Funkcjonariusze tego resortu, podobnie jak naziści, byli bardzo skrupulatni.

Kończy się mój dzień w Pietropawłowsku. Jestem już zmęczony, zasypiam bardzo szybko. Na jutro pan Antoni „zamówił” telewizję. Redaktorzy będą z samego rana. Chcą nagrać reportaż z naszej wyprawy.

Wstajemy około godz. 7.00. Za godzinę przyjadą goście z kamerą. Ubieramy się w strój sportowy, zafundowany nam przez Czesława Langa i jego firmę „Diadora Lang-Valdi”. Dzisiaj jest bardzo gorąco. Na pewno pojedziemy w tych strojach, które wyglądają bardzo efektownie. Rowery też przygotowane. Jeden z nich to z kolei dar firmy Wheeler, reprezentowanej przez Jana Kudrę i hurtownię Augusta z Warszawy.

Są już panowie z telewizji. Opowiadam im o Czesławie Langu i o Janie Kudrze. Okazuje się, że jeden z nich pamięta Cz. Langa z olimpiady w Moskwie, znany też mu jest Jan Kudra, który, jego zdaniem, był przyjacielem Wiktora Kapitonowa. Widać, że człowiek zna się na kolarstwie. Opowiadam mu, co dzisiaj robią słynni zawodnicy. Jest tym zaskoczony. *No, u was to eto możet byt', u nas jeszcze nieważmożno*⁹.

Zaczyna się „kręcenie” mojej wypowiedzi, potem Pawła. W końcu wsiadamy na rowery i jedziemy około 1 km. Kamery filmują naszą „wyprawę”. Według oceny reporterów telewizyjnych, jesteśmy pierwszymi turystami na rowerach, pokonującymi tę trasę. Twierdzą, że nawet miejscowi „w to się nie bawią”. Zachwyceni są naszymi rowerami. Prawie cała ekipa dosiada je i sprawdza. Po podaniu ceny ich zakupu, niemal z nich „spadają”. Rzeczywiście, przelicznik dolarów na ruble daje astronomiczne kwoty. *Za eti diengi można maszynu pakupať*¹⁰. No tak, można. U nas za cenę bardzo dobrego roweru też można nabyć samochód.

Rozmowa schodzi nieco na tematy polityczne. Redaktor twierdzi, że u nich dojście do jakichkolwiek radykalnych zmian jest niemal niemożliwe – *Naszy rukowoditeli pomazalis' bielej kraskoj*¹¹. To znaczy: byli czerwoni przemalowali się na białe, a na wszelkie decyzje i tak oczekują z góry. Sami nie są ani zdolni, ani odważni, ani też po prostu nie umieją podjąć decyzji. Są to typowi „aparaczczy”, którzy w dalszym ciągu nic nie potrafią, ale są posłuszni. No cóż, to ich problem i to naprawdę bardzo złożony. Wyruszamy około godziny 10.00 w kierunku Kurganu¹².

Makuszyno

Zrobiliśmy trochę zdjęć z ekipą telewizyjną oraz z panem Zajączkowskim i dość ostro wystartowaliśmy w dalszą drogę. Robi się coraz później. Około 100 km za Pietropawłowskiem jest granica Kazachstanu i Rosji. Odpoczywamy i robimy sobie zdjęcia. Oczywiście, oznakowanie granicy w dawnej „szacie”. Nic tutaj się nie zmieniło, mimo powstania dwóch państw. Nie ma straży granicznej ani celników. Jedyną oznaką tego, że znajdujemy się w strefie przygranicznej, jest czynny posterunek GAI w miejscowości Mamlutka oraz widok milicjantów z „kałasznikami”¹³ na szyi. Podobny obraz obserwujemy

⁹ U was to może być, u nas jeszcze niemożliwe (Red.).

¹⁰ Za te pieniądze można samochód kupić (Red.).

¹¹ Nasi szefowie przefarbowali się na białe (Red.).

¹² Kurgan – miasto w południowo-zachodniej Syberii, siedziba władz administracyjnych obwodu kurgańskiego, który graniczy m.in. z obwodem północnokazachstańskim (Red.).

¹³ Karabinek automatyczny konstrukcji radzieckiej (Red.).

za granicą z Kazachstanem, już po stronie Rosji – pod Pietuchowem. Widzimy tam tak samo „wyposażony” posterunek GAI. Dla nas jest tu jednak uciążliwe utrudnienie – odcinek drogi „niczyjej”. Około 80-90 km jedziemy dosłownie po „pralce”. Samochody ciężarowe i osobowe przemieszczają się dość wolno i niemilosiernie się kołyszają.

Nocujemy w Makuszynie¹⁴. To małe miasteczko, niczym nie imponujące. Mamy tani hotel, oczywiście bez ciepłej wody. Jesteśmy zmęczeni upałem i fatalną drogą, dlatego po zjedzeniu kolacji i umyciu się natychmiast zasypiamy.

Kurgan

Po śniadaniu w „stołowej” wyruszamy dalej około godziny 10.00. Znów piecze słońce. Praktycznie od Makuszyna do Kurganu po drodze nie ma żadnej miejscowości. To znaczy są dwie, ale musimy do nich zbaczać z trasy około 10-12 km. Pierwsza to Lebiażje, druga – Wargaszy, w której zatrzymujemy się na obiad. Po posiłku odpoczynek i ruszamy do Kurganu. Aby trafić w tym mieście do naszych gospodarzy, nieco kluczymy, nadkładamy około 15 km. Ale o tym przekonał się dopiero następnego dnia. Trzeba jeszcze dodać, że przed Kurganem kończą się stępy. Ostatnie – i to już nietypowe, bo od czasu do czasu porośnięte lasem – „pożegnaliśmy” jakieś 50 km przed tym miastem. Natomiast wiosna tu na całego, wszystko zabarwione soczystą zielenią. Po raz pierwszy na tym etapie dużo odpoczywaliśmy.

Docieramy do miejsca naszego zakwaterowania około godz. 21.30. Będziemy nocować u rodziny rosyjsko-polskiej. Gospodarz – Rosjanin, jego żona – Polka. Jest jeszcze matka jego żony – krajanka Antoniego Zajączkowskiego. Właśnie od niego mamy list polecający. Jesteśmy zmęczeni, zrobiło się bardzo późno. Kąpiel w wannie, kolacja, chwila rozmowy z gospodarzami i idziemy spać. Następny etap to Szadryńsk¹⁵.

Szadryńsk

Gospodarze dość wcześnie wychodzą do pracy, a my jeszcze śpimy. Przed wyjazdem rozmowa ze starszą panią, matką gospodyni. Zesłana z tej samej miejscowości co Antoni Zajączkowski i w tym samym roku. Córka wyszła za mąż

¹⁴ Makuszyno – na trasie kolejowej między Pietuchowem a Kurganem (Red.).

¹⁵ Miasto w obwodzie kurgańskim – na północny zachód od Kurganu, na trasie kolejowej Kurgan–Jekaterynburg (Red.).

za Rosjanina, „ale to dobry człowiek i razem z córką niedawno się ochrzczili. Jak tylko jest możliwość, to chodzą do kościoła”. W głosie starszej pani brzmi to jak usprawiedliwienie, że to małżeństwo jest „mieszane”. Twierdzą, że to nieistotne – byle by byli ze sobą szczęśliwi i aby jakoś im się wiodło. Żegnamy się, bierzemy adresy i obiecujemy napisać o finale naszej eskapady.

Po wyjściu z domu zaopatrujemy się w chleb, kawalek sera i napoje. Ruszamy około godziny 11.00. Na rogatkach miasta droga wiedzie wśród rozlewisk. Były to prawdopodobnie stawy lub jezioro, które w chwili obecnej przedzielone zostało drogą. Po obydwu jej stronach pełno samochodów, a ich właściciele, czerpiąc wodę wiadrami, myją je. Prawdopodobnie przez te „zabiegi” jezioro to stało się... ściekiem. Cuchnie niemiłosiernie i chyba nic nie żyje w tej wodzie. Wygląda to przygnębiająco, ale tu takie widoki nikogo nie zaskakują.

Tak jak wspomniałem wcześniej, od Kurganu zaczyna się Ural. Dojeżdżamy do olbrzymiego pomnika, który – jako tablica informacyjna – oznajmia, że tu jest miasto Kurgan. Robimy sobie zdjęcia z milicjantami, którzy są uzbrojeni w kałasznikowy i zatrzymują każdy samochód ciężarowy. Podobno istnieją tu zorganizowane bandy, które kradną samochody z towarem. Dlatego milicja jest uzbrojona, gotowa do walki z nimi. Są to młodzi ludzie. Dla nas byli na całej trasie niezwykle grzeczni i uprzejmi w udzielaniu informacji. Jeden z nich, gdy dowiedział się, że jesteśmy Polakami, stwierdził: *Wy to macie dobrze, pozbyliście się komunistów we władzach. U nas oni tylko się przemalowali na białe*. I znów przekonujemy się, że w tym kraju coś się zmienia. Jeszcze kilka lat temu takie słowa nie przeszłyby żadnemu milicjantowi w ZSRR przez gardło.

Tuż za rogatkami Kurganu wjeżdżamy w las i droga zaczyna piąć się pod górę. Jest to jakby sygnał, że wkraczamy na tereny Urалу. Przejechaliśmy około 40 km i już jesteśmy bez napojów. Upał okropny, jedyne pocieszenie to silny wiatr w plecy. Zbaczamy z drogi i trafiamy na kilka chatek zbudowanych z drewna. W środku tej miniaturowej osady studnia z żurawiem. Myjemy się i napełniamy bidony wodą. Wylegają mieszkańcy i z zaciekawieniem przyglądają się, ale nikt nie podejmuje z nami rozmowy. Widać, że to ludzie zajmujący się „lesopowalką”¹⁶, czyli drwale. Z jednej chaty wychodzi młoda jeszcze kobieta z okaleczoną przed laty nogą. Widać, że miała ciężką kontuzję kolana, jej noga jest sztywna. Prawdopodobnie przy wyrębie lasu doznała kontuzji. W dalszym ciągu nikt nie rozpoczyna z nami rozmowy.

Wracamy na naszą trasę i jedziemy dalej. Po kilkunastu kilometrach piękny strumyk i polana. Woda czysta w nim jak kryształ. Zatrzymujemy się i robimy zdjęcia. Ja przepieram sobie koszulkę, która jest mokra od potu. Przy tym słońcu i wietrze schnie dosłownie w ciągu kilkunastu minut. W Kargapolu¹⁷ jemy obiad

¹⁶ *Lesopowal* (ros.) – wyrąb lasu (Red.).

¹⁷ Kargapole – miasteczko na trasie Kurgan–Szadryńsk (Red.).

w „stołowej”. Stołówka ta znajduje się naprzeciwko cerkwi, którą zamieniono na magazyn. Kopuły dawnej świątyni zostały rozebrane. Prawdopodobnie groziły zawaleniem. Mimo wszystko przebija z niej piękno architektury rosyjskich budowli. Nieopodal gmach nowo wybudowany. Zastanawia nas to, że jest na nim biało-czerwona flaga. Chcemy koniecznie dowiedzieć się, skąd wzięła się tutaj. Podjeżdżamy bliżej i przeżywamy rozczarowanie – to jest flaga Rosji, jedynie niebieski kolor tak wypłowił, że z daleka wygląda jak biało-czerwona...

Wracamy na trasę, jadąc znów w tumanach kurzu i po tłuczniu. Do Szadryńska docieramy około godziny 19.00. Nocleg w hotelu „Ural”. Przed recepcją pełno „czornych”. Tak Rosjanie nazywają Gruzinów i Czeceńców oraz Ormian. Podobno są to ludzie z gangów, którzy oczekują na przechwyconie towarów lub są gotowi do przyścia z pomocą swoim członkom. Kradzione przez nich samochody przerzuca się do Kazachstanu lub odwrotnie. Ludzie ci pozostają bezkarni. Złapanym na gorącym uczynku i tak udaje się uciec, przeważnie do Gruzji. A tutaj już ich nikt nie znajdzie. A jeżeli ktoś odważy się ich tam szukać, to z zasady sam nie wraca...

Na całej naszej trasie nie spotkaliśmy hotelu bez „czornych”. Nawet małeńkie miejscowości są przez nich okupowane. Po prostu oczekują na swoje „zadanie”. Pokoje przekazują sobie, gdyż dość często przemieszczają się. Tu, w hotelu, zostaliśmy obśpiani i obsypani pytaniami. Udajemy, że bardzo słabo mówimy po rosyjsku. Koniecznie chcą zobaczyć, jak wyglądają nasze paszporty, pytają, czy mamy dolary, jak można dostać się do Polski... To ostatnie interesowało ich najbardziej. Podobało im się wszystko, co mieliśmy, i wszystko to chcieli od razu kupić. Podobał im się zegarek, aparat fotograficzny (choć był to „Zenit”), rowery, ubrania – dosłownie wszystko!

Pokój w hotelu kosztuje 22 ruble i 50 kopiejek od osoby. Dla nas to śmieszna cena. Standard tego lokum – na miarę kiepskiego szkolnego schroniska wycieczkowego. No, może nasze schroniska mają nieco wyższy standard, gdyż w większości gwarantują ciepłą wodę. A tak naprawdę, to na całej naszej trasie nie spotkaliśmy hotelu z ciepłą wodą. Idąc do pokoju, słyszałem śpiew Rosjanina pod natryskiem. Po rozpakowaniu się poprosiłem więc o klucz do tej łazienki. Recepcjonistka dała mi go bez słowa. A pod natryskiem okazało się, że jest tam tylko zimna woda... Zapytałem panią, czy rzeczywiście nie ma ciepłej. Odpowiedziała coś w tym rodzaju: *Jak to?! Nie wiecie, że skończył się sezon grzewczy?* No tak, nie wiedzieliśmy... Widocznie Rosjanin, kąpiący się przede mną, „rozgrzewał się” gromkim śpiewem...

Idziemy na obiadokolację do restauracji. W sali sporo „czornych” i to na dobrym rauszu. Jeden z nich trzyma dwie „połówki” w ręku, rozmawiając z dziewczyną (lub dobijając „targu”). Widocznie nie osiągnął celu, gdyż w pewnym momencie zdenerwowany, młody człowiek rzuca butelką o podłogę.

Szkoło rozpada się na drobne kawałki, a wódka opryskuje kelnera... Awanturnik wypił zapewne o jedną butelkę za dużo. Ale po chwili on i jego rozmówczyni zgodnie wychodzą. Stać go było na wyrzucenie około 150 rubli. Hałas spowodował, że przybiegła sprzątaczką i pyta kelnera, kto będzie sprzątał, bo ona nie. I wychodzi...

Zjadamy z apetytem to, co nam przyniesiono i idziemy do pokoju. Przed recepcją stoi kobieta. Sprzedaje papierosy i czekoladki. Pyta nas, czy chcemy się czegoś napić. Odpowiadamy, że chętnie. Pani wychodzi do jakiegoś pomieszczenia i po chwili przynosi do wyboru: wódkę, szampan, piwo i koniak. Mówimy, że chcemy się napić, ale czegoś w rodzaju wody mineralnej lub oranżady... Aaa, to chodzi wam o „napitok”? Oj, kiepsko uczyliśmy się rosyjskiego... Jest olbrzymia różnica między chęcią napicia się (chyba chodzi tu wyłącznie o coś „mocniejszego”), a „napitokiem” (napój do popicia, po „mocniejszym”). No cóż, więcej to nam się nie zdarzy, już nie popełnimy takiego błędu.

Kupujemy coś w rodzaju fruktowitu, którego butelka 0,33 l kosztuje 25 rubli. W tym kontekście opłata za pokój hotelowy jest wręcz śmieszna. Są to pierwsze zwiastuny handlu prywatnego i cen komercyjnych.

Po zwiedzeniu miasteczka, które – oprócz kilku pięknych, ale bardzo zaniebanych, starych domków – niczym nam nie zaimponowało, idziemy spać. O północy budzi nas awantura pod oknem hotelu. Dwóch „czornych” rozebrało się do pasa i wszczęło bójkę. Trochę śmiesznie ona wygląda. Oto po zadaniu ciosu przeciwnicy kłócą się niemiłosiernie w niezrozumiałym dla mnie języku. Następnie poszkodowany uderza rywala i znów długa, głośna wymiana zdań... Trwało to tak ze dwie godziny. W końcu włącza się do sporu ich kolega, próbując rozdzielić walczących. Zobaczyłem, że „solidarnie” dostał od obydwu i po chwili każdy rozszedł się w swoją stronę. Wybiło mnie to ze snu i niemal do świtu nie zasnąłem. Podobno takie bójki są tu na porządku dziennym. Między swoimi nie robią sobie specjalnej krzywdy. Gorzej, gdy włączy się „biały”. Wtedy dobywają noże lub sztylety i taka „zabawa” dość szybko się kończy... Są bezwzględni i praktycznie nieuchwytni dla władz porządkowych. A po znalezieniu się w Gruzji, jak wspomniałem wcześniej, przepadają, jak „kamień w wodę”.

Z Szadryńska wyruszamy około godziny 9.00 – znów za późno, jak na rajd rowerowy. Przed nami ponad 160 km. Chcemy dotrzeć do Ekaterynburga. Napisałem tak nazwę miasta, gdyż na naszej trasie spotykaliśmy tablice dwujęzyczne – jedno po rosyjsku, inne z angielskim zapisem nazwy tego miasta. Oczywiście, spotykaliśmy też napis Swierdłowski¹⁸. Jednak używać będę nazwy Jekaterynburg.

¹⁸ W latach 1924-1991 taką nazwę nosiło miasto Jekaterynburg, leżące na wschodnich zboczach Uralu, siedziba władz obwodu swierdłowskiego (Red.).